

# Kronika

## tygodniowa

W miarę jak karnawał rozwija się, rośnie też i nastroj karnawałowy. Kraków rozbawił się jak nigdy dotąd, niema dnia bez balu publicznego lub choćby większej zabawy prywatnej, do dziesiątej rano ulice jakby wymiotti, wszystko odyspia zaległości przetranszowanej nocy. Zawołani danczerzy działalność swą hamakarną abliczają już na kilometry. Tańczy się pod rozmaitymi pretekstami, najczęściej, oczywiście, na cele dobroczynne, aby być wobec swego samienia wytlumaczonym, że się ma pieniądze do wyrzucenia na zabawę, a stale narzeka się na ciętkie czasy i upomina o poprawę bytu. Krakowscy krawcy, ukończywszy polowanie na „faszerów“, przypomnieli sobie Boga Narodzenie i urządzają tańczący „opłatek“, na który zapraszają współpracowników igły i nożyczek oraz przyjaciół swego arystycznego zawodu.

Na śliczy miąsy się coraz częściej podobno rozmowy:

— Będziesz dzisiaj w Kasynie wojskowym? Zaspowiedziano wieczór z kotylionem...

— Ani mi się śni!... Jestem zaproszony do Pańskich na przyjęcie z gorącą kolacją, a taka okazja nie prędko się znów trafi!...

Albo:

— Idziesz na Redutę prasy?

— Oczywiście!... Nie obeszłoby się tam bezemnie... Będzie tam *seno Gracovo*. Zaspowiedziano są liczne niespodzianki z wyłączeniem jednak takich, jak w ubiegłym roku...

Reduta prasy, mając się odbyć w dniu pierwszego lutego, będzie w tegorocznym karnawale punktem prądomowym. Czas na jej urządzenie wybrało bardzo odpowiedzialny, bowiem pierwszy dzień w miesiącu, kiedy żadny, choćby nawet nie chciał musi mieć pieniądze, najazdu wypada zaś święto (zda się, że przez Sejm nasz skasowane...), w wypoczynku zasłużonym zatem nikł nie przeszkodzi. Dalsze zabawy, w miarę zbliżania się końca miesiąca i końca karnawału, nie będą już tak ochotne, chyba, że Rząd uwzględniając wyjątkowe położenie, zdecyduje się w roku bieżącym trzydniową płacę miesięczną wypłacić już w ciągu lutego. Manifestacyjny wiec urzędników w Warszawie, urządzone pod gołem niebem, poruszył także i tę kwestję, wzywając ministra Michałskiego do zajęcia się losem funkcjonaryuszów państwowych, a rezolucja, przyjęta jednogłośnie, brzmiała krótko, lecz dobitnie: „Dawaj mopy, albo bądź zdrow!...“ Ponieważ zaś kasy państwowe są obecnie naletytce „wywieńtrzone“, a sprawa daniny ogłose jeszcze utyka, Towarzystwo O. P. K. (Onafry... pakuj kafry!...) może bardzo łatwo i bardzo prędko znaleźć nowego klienta.

Gdy rozkarnawalowanie publiczne wzmaga się z dniem każdym, prywatne natomiast pozostawia wiele do życzenia, zwłaszcza dla rodzin liczeńszych, mających pauny na wydaniu, rozstrojony fortepian i będący jeden z pokoi większy, nadający się do urządzenia tańców w kilkanaście par. Tak zwane „pikniki rodzinne“ na których jeszcze w czasie wojny tak się doskonałe bawiono, i tak niewielkim kosztem, znikły już prawie zupełnie z widowni. Zoleralo się kilka rodzin zaprzyjaźnionych, które dostarczały wszelkiego jadła, panowie starali się o trunki, orkiestrę zastępowała przy fortepianie ciocia, którą w ciągu wieczora wyobrażał ze dwa lub trzy razy z wdzięcznością któryś z danczerów, aby sobie przypomnieć młodsze lata. Zabawa trwała do samego rana, a że była nie wymuszona, była też tam przyjemniejsza. Najlepiej na niej wychodziła rodzina, rozporządzająca obszerniejszym mieszkaniem, rozklekotanym fortepianem i muzykalną ciocią, resztki „półmisków“ pozostawiały bowiem na jej *seno*. Zostawało zaś dosyć i wystarczyło rodzinie nierzaz i na cały tydzień, bo kto tam myślał wówczas o jedzeniu, gdy głowę miał nabita tańcami, gdy po niej chodziły różne Kazi, Stefci, Manie, Zosie, Janki i t.p. A pańki, jako gospodarne stworzonka, pamiętały o domowej aprowizacji i robiły słodkie oczko do chłopczyków, aby ich nastroić poetycznie i pozwolić zapomnieć o tak prozaicznej czynności, jaką jest jedzenie.

Dziś to swobodne rodzinne zabawy, podczas których kojęrszyo się tyle stadoł małżeńskich, co było i na chwałę Boga i na pożytek ludzkości, należą już, niestety, do przeszłości, a ta zapewne nigdy już nie wróci. Obecnie dewiza każdego: „jeśli się bawić, to tak, aby cały świat widział“.

Jedną tylko paskarzę i lichwiarze wojenni wolą się bawić w swem kółku, aby nikł nie bryzgał im w oczy

zarzutem, że to zabawa za cudze pieniądze, okupione łzami i potem innych. Na taką zabawę warto byłoby się dostać, ale jest to połączone z daleko większymi trudnościami, niż wdarcie się w głąb litewskiego matczynika, tak pięknie i barwnie opisane w „Panu Tadeuszu“. Według słów poety „Trad, Trwoga i Śmierć bronią tam przystępu“..., tutaj zaś nieprzynależność do cehu paskarskiego.

Jednem słowem karnawał tegoroczny odpowiada zupełnie oczekiwaniom, czy zaś jego skutki będą również pomyślne, to jest, czy wprzęgł on odpowiednią ilość par w jarzmo małżeńskie, przyszłość dopiero pokaże, a miejscy Urząd Statystyczny potwierdzi.

Kronikarz, wierny swej zasadzie i Weronice, po balach się nie szwada, czas ten spędza natomiast w domu, przykładnie na łonie rodziny, grzejąc się wobec nieopalonego pieca ciepłem życia rodzinnego i zastanawiając się, teraz już zupełnie na serio, czy ma postawić swą kandydaturę do Sejmu i na zasadzie programu którego stronnictwa. Wydaje mu się najodpowiedniejszym własny program, który byłby streszczeniem wszystkich innych, aby każdy z wyborców mógł nań głosować bez obawy ślagnięcia na się zarzutu, że się sprzeniewiera swemu stronnictwu. Ułożenie takiego programu jest jednak bardzo trudne, trudniejsze częstokroć od współlucia w jednej klatce kota i kanarka. Nad tem łamie sobie teraz głowę, aby te kontrasty jakoś pogodzić, a dziełnie w tem depomaga ma Weronika, okazująca coraz wybitniejszą zdolność polityczną i obliczający materiał na „tonę stawa“.

Ostatecznie przeciw ableganiu się Weroniki o mandat poselski kronikarz nie miałby nic, obawia się jednak, że, gdyby obydwójna się poszerzyło i, jak na zgodne i kochające się małżeństwo przystało, wyleśli z urny wyborczej jako posłowie, łatwo stałby się mogło, iż magistrat, po wyjeździe ich do Warszawy, zrekwizowałby ich mieszkanie na pomieszczenie jakiegoś nowego urzędu, lub dla jakiej wysoko postawionej w politycznym świecie osoby, wypróbyd przyrodzonego brata ciocięcej siostry kucharzki konsula czeskiego.

System oszczędnościowy ministra Michałskiego robi swoje. Znosi się niepotrzebne urzędy, w pozostałych redukuje się liczbę pracowników, aby jednak uwolnieni ze służby nie pozostali bez chleba, a są to przeważnie ludzie protegowani, zakłada się nowe urzędy. Narzekaliśmy swojego czasu na anatyrycki biurokracyzm, tymczasem widzimy, że w młodej Polsce pod tym względem jest daleko gorzej. Urzędów mamy jeszcze więcej, niż ich było dawniej, a co ważniejsze, przeważnie żaden z nich nie wie, jaki jest właściwy zakres jego działania, interesantów odysia się też z jednego do drugiego, nie bacząc na to, jakie dał obnwie drogie.

Weronikę groźba rekwizycji mieszkania wytrąciła na chwilę z zwykłej równowagi, wnet jednak opamiętała się i rzekła:

— O to niema obawy!... Z posłami muszą się liczyć... Zresztą poseł jest nietykalny, nietykalnem jest zatem także i jego mieszkanie!

Aczkolwiek jest kronikarz zwolennikiem równouprawnienia oba płci, do pewnych jednak tylko granic, nie lubi mianowicie niewiast politykujących, gdyż z tem im stanowczo nie do twarzy, także cierpiących na grafomanie, że bowiem są prawdziwą plagą ludzkości. Na zgromadzeniach, wiecach i t. p. może się wprawdzie niewiasta naletytce wygadać i to jej zwykle dobrze robi, traci jednak cały urok niewieści, gdy wpadnie w ferwor, zaczyna krzyczeć, machać rękami, tupać nogami, fryzura zbakieruje się, a pader, w połączeniu z potem wytworzy na obliczu smugi kłajstrowe. Gdyby się sama w tej chwili zabaczyła w lustrze, z pewnością przestraszyłaby się sama siebie, a cóż dopiero ma powiedzieć patrzący na nią mężczyzna, któremu każą wierzyć, że to anioł w ludzkim ciecie, gdy natomiast on widzi przed sobą istotne wtęplenie dyabła i, jeśli jest kawalerem straci raz na zawsze ochotę do żeniaczki. Wiedziała dobrze Francya co czyni, nie dając swym kobietom praw wyborczych.

Grafomanka, a takich mamy obecnie całe mnóstwo, o ile tylko uda się jej liźnąć nieco bardzo powierzchownego wykształcenia, czuje w głębi swej duszy budzące się natchnienie i uważa się za powołaną do uszczęśliwiania ludzkości swymi pracami, zwykle wywołującami efekt wprost przeciwny do zamierzonego przez autorkę, często zaś stojącymi w rażącej sprzeczności z najprymitywniejszymi zasadami pałowni.

Znaszą ją dobrze wszystkie redakcje, referenci literaccy chronią się przed nią nierzaz do szafy, ona przecież lada czem zbyć się nie da i trzy razy z rzędu odprawiona z kwitkiem wróci z pewnością po raz czwarty. A niech nie szczęście chce, że dla jej pozbycia się wydrukuje któraś redakcja jej „arcydzieło“, za które bynajmniej nie żąda honorarium, uważa się za geniusza, przed którym w ką jakiej tam Orzeszkowa,

Rodziwiczówny, Konopnickie, Zapolskie i chciałaby, aby jej podobizną i sylorys (oczywiście nie podając daty przyjścia na ten świat...) zamieściły wszystkie piśma ilustrowane, aby cały świat wiedział, jaką perłę posiada.

Te dwa rodzaje niewiast (często połączone w jednej osobie), o ile są staremi pannami, mniej światła wyrządzają krzywdy, rozporządzając stale wielką ilością wolnego czasu, który zamiast na robienie bajek i snucie intryg obracają na politykowanie lub psucie drogiego papieru. Bada jednak męzowi, mającemu taką sone!... Nie pytając nikogo o radę powinieli się nawzajem powiesić i to na przedwojennym mocnym sznurku, by się przypadkiem nie urwali. Ogólnie domowe przy takiej tonie wygaśnie, dzieci, o ile są, mają za gubernantkę kacharkę, mat szuka pocieszenia poza domem. Takie życie rodzinne to zupełnie wystarczający powód do zwaryowania lub samobójstwa.

Co się tyczy jego własnej osoby, kronikarz czegoś podobnego się nie obawia, już choćby tylko z tego powodu, że na posłowanie Weroniki zgadza się tylko pod tym warunkiem, o ile sam zostanie także wybranym. W ciągu trzydziestoletniego życia miał się zresztą czas i sposobność do swej dożgonnej towarzyszki naletytce przyzwyczaić, zna ją w roli anioła i dyabła, nie robi też na nim przykrego wrażenia jej widok na trybunie, na co zresztą patrzeć nie potrzebuje, Weronika bowiem, jako pełnoletnia, bez jego opieki się obejździe. A i w najgorszym nawet wypadku, to jest, gdyby ona zdobyła mandat, on zaś nie, jeszcze i wtedy jakoś bez niej potrafiłby sobie dać radę, wojna bowiem nauczyła go wykonywania różnych czynności, w zakres domowego gospodarstwa wchodzących, jak przyszywanie guzików i t.d. Miejmy jednak nadzieję, że co Bóg złączył, tego urna wyborcza nie rozłączy i wszystko zostanie po staremu, to jest, iż pani Weronika będzie i nadal panią kronikarową, a nie panią posłaną.

Równouprawnienie oba płci jest w zasadzie teorią bardzo piękną, ale droga, na jakiej niektóre działaczki społeczne starają się je osiągnąć, nie zawsze jest odpowiedzialną, często też nie prowadzi do zamierzonego celu i nierzaz rodzajowi żeńskiemu wyrządza dotkliwą szkodę, ośmieszając go w oczach świata i to nie tylko męskiego, ale i zdrowiej na stosunki społeczno zapatrzących się towarzyszek niedoli, która Bogiem a prawdą niedolą nigdy nie była, gdyż rodzaj żeński, zwłaszcza w Polsce, wbrew wszelkim regułom gramatycznym stawiany był zawsze na pierwszym miejscu.

Kobieta i bez polityki znać może dla siebie tyle odpowiedzialnych i bardzo wdzięcznych pól do rozwinięcia owocnej działalności, że nie potrzebuje szukać sposobów zdobywania sobie sztucznie znaczenia i szanania. A, aby się pozbyć niewiast, stających do walki o swe równouprawnienie, zalety to wyłączenie od mężczyzn. Wiadomo, że wojowniczość i zapalczywość wzmaga się w miarę przyrostu lat, spędzonych w świętym stanie panieńskim, dochodzi zaś do krytycznego punktu w tak zwanym „niebezpiecznym wieku“, na który zwróciła uwagę ogółu pani Michałis. Kiedy się ten wiek a niewiasty rozpoczyna, to określić trudno, w każdym razie nie wcześniej jak koło trzydziestki, gdy zaczyna już tracić nadzieję, że stanie się dożgonną niewolnicą jakiegoś tyrańca, który może pamiętać o swym żołdaku, czystej bieliźnie, guzikach i innych rzeczach z poczty życia nie wspólnego nie mających. Aby zatem szafistek było jak najmniej na świecie trzeba je sprzątać jak najprędko, póki czas, ale nie systemem Landra, lecz bardziej legalnym, to jest prowadząc do ołtarza. Sejm nasz jeśli ma dobro kraju leży naprawdę na sercu, powinien był postarać się o podobną ustawę, daleko ważniejszą dla społeczeństwa, niż ośmiogodzinny dzień pracy, spoczynek niedzielny lub oznaczenie, które dał w roku naletytce uwatąć za święta, gdyż o tem i bez niego wiemy z kalendarza. Na podstawie takiej ustawy męczyzna, który do trzydziestego roku życia nie wynajdzie sobie sam dożgonnej towarzyszki, ośieniony zostaje z urzędu. Ponieważ statystyka wykazuje przewagę liczebną kobiet, w szczególności na uwzględnienie zasługujących wypadkach zerwać można na dwaństwo, które dotąd ścigane było przez kodeks karny jako przestępstwo i to jedno z cięższych. Prawodawca, układając odnośny paragraf nie pomyślał napewno o tem, że przestępca sam się już dostatecznie ukarał, bo z jedną żoną kłopotu dość, a cóż dopiero z dwiema, jeśli jeszcze do tego przychodzi dwie teściowe.

Konwent Seniorów, wyszukując ważne sprawy, których załatwieniem miałby się zająć jeszcze obecny Sejm, powinien tę właśnie postawić na porządku dziennym i to już jednego z najbliższych posiedzeń, aby wywłaść panią między kawalerami, lubiącymi pannom zwracać głowę, a nie myślącymi bynajmniej o żeniaczce. Jest to sprawa nagląca, gdyż karnawał skończy się w dniu pierwszego marca, a ucsta zaręczynowa ze śladami jakoś niewyraźnie się przedstawia.